

MARIA
BANASZAK
AGATA
JANKOWSKA

HAAJ LAND

JAK ĆPAJĄ
NASZE DZIECI

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Projekt dziecko

W piątkowy wieczór na trzydziestym piętrze szklanego wieżowca w centrum Warszawy zabawa trwa. To Miłosz*, osiemnastoletni syn właścicieli czterogwiazdkowego hotelu, znowu robi melanz. Jeszcze tylko kilka miesięcy i ten wart kilka milionów złotych, dwustumetrowy, przeszklony z trzech stron penthouse będzie jego. Właściwie już jest, bo rodzice płacą raty, ale na razie nie może tu zamieszkać. Najpierw musi skończyć szkołę z wyróżnieniem. Dlatego Miłosz liczy dni do matury w międzynarodowym, prywatnym liceum. Tyle że o nauce myśli od poniedziałku do czwartku. Od piątku razem z ekipą, czyli podobnymi do niego rówieśnikami, zwykle się resetuje.

„W weekendy idziemy grubo. Wóda się leje, ale taka lepsza, olmeca albo chivas. Raz do jacuzzi wlaliśmy moëta i kąpaliśmy się w bąbelkach. Panny piszczały z zachwytu” – relacjonuje siedemnastoletni Konrad, stały bywalec warszawskich imprez, syn adwokatów. Bywa, że przez weekend na zabawę w nocnych klubach, taksówki, alkohol i kokainę wydaje kilka tysięcy złotych. Ale to żaden problem, bo ma dostęp do karty kredytowej ojca, a ten nigdy nie sprawdza salda.

* Imiona większości bohaterów przedstawionych historii zostały zmienione i jakiegokolwiek podobieństwo jest przypadkowe.

„Już w piątek odpinamy wrotki” – wtóruje mu osiemnastoletni Szymon, syn maklera i niewiele starszej od siebie macochy modelki. „Stół jest biały od koksu, a z blatu kuchennego sypie się kryształ [metamfetamina – przyp. red.]. Gdy brakuje sił, ratuje nas mefa [mefedron – przyp. red.], bo szybko daje kopa. Ale zjazd po tym głównie jest koszmarem” – stwierdza.

Czy robią coś złego?

„Bez przesady, przecież każdy był młody. Po co to wszystko? Trochę z nudów, trochę po to, żeby zabić stres” – mówi Miłosz. I dodaje po chwili: „Mamy karty kredytowe, wakacje na innym kontynencie, domy, jachty, drogie ciuchy. A jednak coś nas uwiera. Ale nie przeżyliśmy komuny, nie zazналиśmy biedy, nie wypruwaliśmy sobie żył, żeby dochrapać się M4 więc co możemy wiedzieć o życiu? Oczekuje się od nas, że zamkniemy usta i będziemy w ciszy liczyć hajs rodziców. I tak wszyscy wiedzą, że skończymy lepiej niż większość rówieśników, na przykład jako prezesi w firmach tatusiów”.

Czy naprawdę mogą liczyć na wsparcie rodziców?

„Tak, ale tylko finansowe. Starzy nic nie kumają” – kręci głową Konrad. Sam nie może uwierzyć, że matka kupiła mu leki przeciwhistaminowe, gdy udawał, że przekrwione oczy to wina uczulenia na pyłki. „Alergia? W środku zimy? Byłem naćpany jak bąk, bo po szkole zjaraliśmy tonę haszyszu” – opowiada.

Albo wtedy, gdy przed końcowym sprawdzianem z matmy rzuciła go dziewczyna.

„Nie spałem, nie jadłem. Tylko chlałem, wciągałem i pieprzyłem panny. Starzy tego nawet nie zauważyli. W nagrodę

za wzorowe świadectwo dostałem nowego iPhone'a. Ojciec pękał z dumy”.

W niedzielny wieczór na trzydziestym pięttrze wieżowca gasną światła. Impreza u Miłosza się skończyła. Jeszcze tylko dwie Ukrainki w nocy posprzątają lokum.

„Wsiadamy do ubera i wracamy na chatę. Wielu z nas, jak co tydzień, zaliczy słaby zjazd. Złapie doła albo wkurwa” – opowiada Miłosz.

Co na to rodzice? – pytam chłopaków.

„Spytają, gdzie się szlajałem cały weekend. Odpowiem, że nigdzie. Zamknę się w swoim pokoju, otworzę książkę i będę udawał, że się uczę. A tak naprawdę będę patrzył w sufit i dochodził do siebie” – zdradza swoje plany Konrad.

„Połknę coś na sen i zaliczę zgon” – planuje Szymon. Jest pewien, że rodzice nie będą niczego podejrzewać. Zresztą na ogół ich nie ma. Mama jest na zajęciach z jogi, a ojciec czeka na wieczorny lot do Londynu czy Zurychu. W poniedziałek Szymon złapie pion, w szkole będzie zgrywał pry-musa. „Tydzień minie szybko: korki z matmy, siłownia, lekcje trąbki. W piątek znowu odepniemy wrotki”.

Gdy napisałam reportaż dla pewnego tygodnika o tym, jak bawią się uczniowie prestiżowych szkół, redaktorzy nie chcieli uwierzyć, że to prawda.

Nie dziwi mnie taka reakcja. Rodzice też nie dowierza-ją, że ich dziecko ma problem, nawet wtedy, gdy w plecaku syna znajdą worek białego proszku albo gdy córka wróci nad ranem z imprezy i zwymiotuje im prosto pod nogi.

Ojciec naszego dziesiętnastoletniego pacjenta zorientował się, że syn jest uzależniony od heroiny, dopiero wtedy, gdy ten po nieudanej próbie samobójczej, zresztą nie pierwszej, trafił do szpitala. Chłopak był wycieńczony, chudy, miał szarą cerę i zapadnięte policzki. Lekarze pokazali jego ręce pocięte sznycami. Rodziców jakoś nie zdziwiło, że chłopak w środku lata chodzi w bluzach z długim rękawem. Mówił, że taka moda. Dodam, że oboje rodzice byli wykładowcami akademickimi. Mieli trójkę dzieci, nasz pacjent był środkowym z rodzeństwa. Choć odnosił sukcesy, bo w tak młodym wieku dorabiał jako nauczyciel gry na gitarze w szkole muzycznej, był najmniej widoczny. Gdy trafił do ośrodka, przez wiele miesięcy nikt z rodziny się z nim nie kontaktował. W końcu odwiedził go starszy brat, żeby przekazać, że rodzice bardzo cierpią, bo ich zawiódł. Jak sobie zapewne wyobrazasz, poczucie winy nie wpłynęło zbyt dobrze na proces leczenia.

Inny przykład: uczeń topowego, prywatnego liceum w Warszawie, syn lekarza, na balkonie w swoim pokoju permanentnie palił jointy. Nie ukrywał się, gasił skręty w doniczce z kwiatkiem, bo starzy myśleli, że to tylko papierosy. Gdy chłopak trafił na oddział psychiatryczny po załamaniu nerwowym, rodzice rozpętali awanturę w szkole, że dyrektor nigdy nie robił uczniom testów narkotykowych. Swojej winy nie zauważyli. Bezzwłocznie przekazali syna pod opiekę prywatnego ośrodka leczenia uzależnień, wymagając, żeby terapeuci go „naprawili”. Kolejny raz scedowali odpowiedzialność na innych.

Jak można nie zauważać, że coś złego dzieje się z najbliższą osobą?

To się nazywa wyparcie. I stanowi jeden z podstawowych mechanizmów obronnych – lepiej nie widzieć złych rzeczy, niż się z nimi skonfrontować. Nawet jeśli obije nam się o uszy, że w szkole młodzież pije lub zażywa, najpewniej uznamy, że naszej rodziny to nie dotyczy. Nasze dziecko przecież takie nie jest.

To zaklinanie rzeczywistości.

Tak, choć sprawa jest bardziej skomplikowana. Każdy z nas ma konkretne wyobrażenie o sobie i swoim świecie. Jeśli rodzic wkłada dużo wysiłku w wychowanie dziecka, stara się zapewnić mu wszystko, co potrzebne, wyobraża sobie, że jest czujnym, rozumnym, dobrym opiekunem. Do tego dochodzi mylne wyobrażenie o narkomanii. W naszej świadomości narkotyki to patologia i w żaden sposób nie pasują do obrazka „porządnej” rodziny. „Nasze dziecko ćpa? *No way!*” Zresztą rodzice wypierają większość problemów swoich dzieci i nie decydują o tym wcale zła wola ani świadome działanie. W końcu, skoro wypruwamy sobie żyły, latorośl powinna być nam wdzięczna i szczęśliwa, że ma lepiej od innych. Dlatego kiedy pojawia się problem, stajemy w rozkroku poznawczym. Uruchamiają się mechanizmy, które tłumaczą nam rzeczywistość tak, żeby obraz był spójny. Bo gdy coś przestaje się zgadzać, występuje błąd w matriksie. Powstaje dysonans wywołujący rodzaj psychicznego cierpienia.

Tymczasem od dorosłych wymaga się, żeby brali odpowiedzialność za to, co się wokół nich dzieje, i za to, co dzieje się z ich dzieckiem.

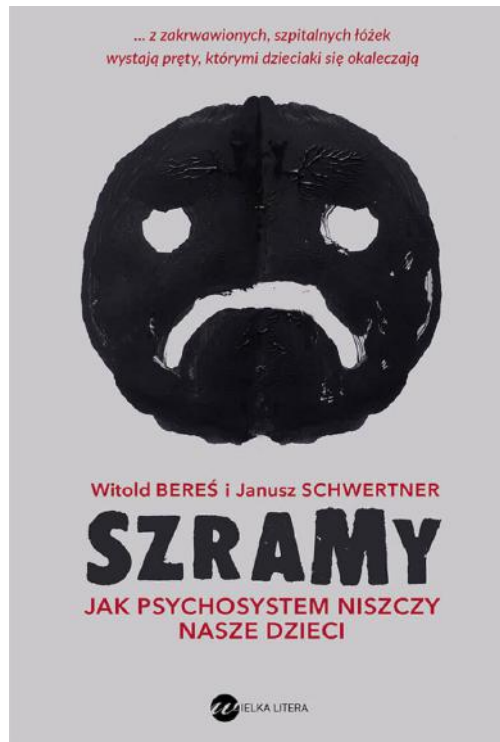
Nie jest tak, że rodzice specjalnie przymykają oko na problemy dzieci. To mechanizmy naturalne, podświadome, którym ulegają wszyscy. Wytłumaczę to na banalnym przykładzie diety, który pewnie każdy zna z autopsji. Z jednej strony komuś bardzo zależy, żeby schudnąć, ale z drugiej bardzo chce zjeść czekoladę. Gdy pokusa weźmie górę i taka osoba złamie dietetyczne postanowienie, musi szybko znaleźć jakieś wytłumaczenie swojego występku. „Należało mi się po ciężkim dniu pracy”. „Musiałam zjeść, bo ktoś mnie zdenerwował”. Nie chcemy sami przed sobą przyznać, że ponieśliśmy porażkę, więc łagodzimy sytuację, kierując odpowiedzialność na zewnątrz. Im poważniejszy problem, tym mechanizmy silniejsze. Dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że jeśli „projekt dziecko” nie idzie po naszej myśli, długo nie przyjmujemy tego do wiadomości. Trudno stanąć przed faktem, że coś spieprzyliśmy. A najwygodniej jest przetrzucić winę na innych. „Gdzie byli nauczyciele?” „To wszystko przez złe towarzystwo”. Siebie zostawiamy na końcu.

Projekt dziecko? Co dokładnie ma to znaczyć?

Mam wrażenie, że coraz częściej do rodzicielstwa podchodzi się jak do projektu w korporacji. Jest powszechna presja na bycie zajebistym rodzicem, a dowodem na to musi być zajebiste dziecko. Dzieciaki czują, że nie mogą być po prostu wystarczające. Ciągłe muszą sięgać po więcej, pokonywać słabości, być coraz lepsze w każdej dziedzinie. Stawać się ludźmi, którymi nie są i którymi często nie chcą być. Im więcej wysiłku włożysz w wychowanie, tym – siłą rzeczy – więcej oczekujesz. Sami uczymy je zachłanności, a one tylko naśladują nasze zachowania. W końcu to dorośli ludzie

w środku zimy wbiegają bez ubrań na górskie szczyty, a gdy zaczyna się hipotermia, dzwonią po pomoc. To dorośli wrzucają na Instagram fotorelację z morsowania w przeręblu, udowadniając w ten sposób sobie, a częściej internetowym znajomym, że są lepsi, mocniejsi, niepokonani i wyróżniają się z tłumu. Dorosłym aplikacje dyktują życiowe cele. Po co? Żeby wygrać w wyścigu o lajki, czyli o popularność i uznanie. Czy wiesz, że już w przedszkolach walczy się o lajki? Rodzice proszą o polubienie rysunku dziecka, bo jak zbierze najwięcej łapek w górę, to wygra konkurs. Do niedawna osiągnięć sportowych, zawodowych ani żadnych innych nie zdobywało się na skróty. Dziś non stop trzeba dbać o to, żeby podgrzewać swój wizerunek. Zdrowa rywalizacja nie trwa przecież dwadzieścia cztery godziny na dobę, a wyścig o lajki już tak. Chcemy mieć dobre samopoczucie na zawołanie i tego uczymy dzieci. A alkohol i narkotyki to doskonałe sposoby, żeby osiągnąć ten cel. Wciąż zastanawiasz się, dlaczego dzieciaki przekraczają granice, pijąc wódkę na umór i robiąc zawody, kto wciągnie najdłuższą kreskę koksu?

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl